

Paznokcie zżarłem do krwi, do kości, do knykci, do łokci, do pachwin, aż nachlałem się krwi jaśnutej jak rozwodniona różana herbatka. Ramiona mam zbyt męskie, by oszukiwać samego siebie, że jestem jeszcze dzieckiem, ale zbyt drobne, żeby przepychać się w autobusie. Zbyt szerokie, żeby ktoś usiadł w nim obok mnie, i zbyt wąskie, by ktoś bał się zapierdolić w nie barkiem. Kark mam idealnie wymierzony pod topór. Szyję jakąś taką krzywą i z ciągle tańczącym jabłkiem Adama, jak u przerażonego indyka. Przelyk wiecznie ściśnięty, jakbym wciąż się obawiał, że ktoś wepchnie w niego łapę po łokieć. Przez to dławię się ciągle samym sobą i kaszlę wszystkim, co mam.

Zębów mam liczbę nieparzystą i to jest jakieś zjebane.

Mój język jest zbyt twardy i sztywny, zupełnie jak kolana, ale szkoda, że nie kręgosłup. Przez niego nerki są poobijane, spuchnięte, bo tak się ciągle wygina i dlatego wszystko mnie boli, kiedy próbuję sikać. Gardło mam zdarte, więc boli mnie też wszystko, gdy staram się mówić, chyba że mówię cokolwiek, wtedy słowa wychodzą z niego tak łatwo, jak wchodzi do niego wódka. Wszystkie są piszczące i świszczące, zadrzane, pogniecione, jak papierek po cukierku, który ktoś próbował wyrównać, kładąc na nim grubą książkę. Krzyków nie ma, częściej szept, każdy chrapliwy i bolesny.

Trzeba je z siebie wycisnąć jak resztkę pasty do tych nieparzystych zębów.

Nos mam zbyt duży i płaski, wgnieciony w płaską twarz, pewnie przez tę płaską szybę, do której się przyklejam i próbuję coś dojrzeć, ale nikt nie chce mi nic pokazać. Może to dlatego chrapię, choć istnieje szansa, że staram się po prostu mówić przez sen, ale jedynie wychrapuję orznięte kadłubki słów, bo jakoś mi głupio, bo jeszcze ktoś usłyszy i nie wiadomo, co sobie o mnie pomyśli.

Zdarza się, że mózg, który wciąż kombinuje przeciw mnie (każdej nocy tworzy nowy plan zapanowania nad moim światem, zdradziecko, jak ręce, które czasami robią dziury w skórze i wrywają na wierzch gęsie pióra) przesznuje jakąś szczerą myśl pomiędzy tymi nieparzystymi zębami, a wtedy boli mnie cholernie wszystko, a on się śmieje, bo wie, że zasłużyłem.

Ja śmiechu nie posiadam – jak usłyszę coś zabawnego, to puszczam z telefonu.

Kości policzkowe mam proste jak od linijki, a czoło pomarszczone, jakby było we mnie najstarsze (na pewno jest za to największe i na pewno najczęściej go używam). Oczy też mam nierówne. Jedno spierdała, bo nie ma siły już patrzeć, woli się odwrócić, drugie jeszcze nie ma odwagi, ale wkrótce też się przekona, że tak będzie dla niego najlepiej. Na zdrowie.

Niech spierdoli wraz z nogami. Słowami. Myślami. Oddechem.

Tym krzywym, nieparzystym uśmiechem.

Gdy moje kostki szykują się do skoku przez przerwę w chodniku, zawsze liczą, że nie doskoczą i w końcu stanie się coś ciekawego. Ale ja wiem, że ta przerwa przynosi pecha, więc ląduję na palcach, byleby jej nie dotknąć, i żeby wszystko było w porządku, i super, i w ogóle.

Czasami chciałbym, żeby ktoś mnie jednak popchnął.

(albo kazał nie skakać)

08.05.2023

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Bernierdh, dodano 17.09.2023 15:44

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.